

## 1. „O-o-k-r-u-szek ch-ch-l-e-ba! O-o-d-r-o-b-i-n-kę ch-ch-l-eba! – skóreczkę!”

[Perec Opoczyński, *Dzieci na bruku* [w:] *Reportaże z warszawskiego getta*, przekład, redakcja naukowa i wprowadzenie Monika Polit, Warszawa, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Żydowski Instytut Historyczny, 2009]

Zacząło się już we wrześniu 1939 roku. Bomby niemieckich samolotów, które, nie bez przyczyny, padały na gęsto zaludnione żydowskie uliczki, niemające z wojskowego punktu widzenia żadnej strategicznej wartości, zamordowały tysiące żydowskich rodziców (...) tylko dzieci – zdezorientowane, przestraszone, potratowane, wrzuczone do zatęchłych piwnic – schronów. Ich oczka były szeroko rozwarte. Dzieci patrzyły i nie rozumiały, gorączkowo szukały matek, jak spragnione pisklęta wyciągały szyjki po kropelkę wody, po kęs jedzenia...

Potem wojna się skończyła, piwnice zostały otwarte i wypuszczono dzieci na „wolność” (...) na łaskę losu. Zacząło się nocowanie na podwórzach, na schodach domów, na ulicach – i zaczął się głodowy marsz żydowskiego dziecka wojny.

Dokądkolwiek się pójdzie i gdziekolwiek się stanie, widzi się je – głodne, porzucone dzieci, zebrzące z wyciągniętymi rączkami:

– Serdeczni Żydzi, miejcie litość nade mną, jestem głodny!

Kiedy się przechodzi obok i słyszy ten rozważny język dzieci, ten ton stateczny, starczą mowę, kiedy się widzi ich miny i ruchy, nie wiadomo, co robić najpierw: zdumiewać się siłą nędzy czyniącej z dzieci starców czy też zastanawiać się nad mądrością dzieci, które same jeszcze nie są jej świadome, a może medytować nad ich zdolnością przystosowania się i odwagą w strasznej walce o kawałek chleba?

O-o-k-r-u-szek ch-ch-l-e-ba! O-o-d-r-o-b-i-n-kę ch-ch-l-eba! – skóreczkę!

W upale i kurzu, w deszczu i zimnie, w śniegu i na wietrze stoją dzieci (...) proszą, proszą (...)

Skąd bierze się w serduszkach tak małych, sześć-, ośmioletnich dzieci taka rzadka siła? Skąd ona w serduszkach Żydział wrzuconych w ten obcy, tak bardzo obcy, dalece niedziecięcy świat? W świat surowy, w którym nie ma uśmiechu, zabawy, psoty. Jest tylko powaga ponura jak burzowe chmury, zasnuwająca ich twarzyczki, by już nigdy nie pojawił się na nich żaden dziecięcy rys. W te mokre zimowe dni listopada stoją w deszczu, śniegu i gradzie, kurczą się i trzęsą z zimna; ich (...) piosenki, ich (...) pergaminowa skóra ich twarzyczek – straszą śmiercią, ale Żydzi przechodzą obok, udając, że nie widzą. Co robić, w domu mają własne dzieci, które głodują!



Niech się martwi wspólnota, gmina, instytucje społeczne!

Żydowska wspólnota, żydowska wspólnota – chory, cierpiący na moralny uwiąd i głuchy gminny kolektyw. Wraz z wojną społeczne zaangażowanie gminy zatrzymało się na progu własnego lokalu. Kończyło się w jego czterech ścianach. Polegało na zapewnieniu dobrobytu sobie samemu. Żydowska wspólnota gminna musi brać, ciągnąć, skąd się tylko da. Często (...) od [głod]nych dzieci (...) aby samemu przeżyć.

Kto należy do gminy? Indywidua, sprytne indywidua, które dobrze wiedzą, że nie jest dobrze głodować, ale tę wiedzę odnoszą przede wszystkim do siebie, do własnych (...) rodzin. Własna rodzina (...) troska o nią – jest równoznaczna z troską o całą społeczność...

To jest tragedia polskich Żydów, których wojna zastała tak niegotowych, nieorganizowanych, niedojrzałych do roli przygotowanej przez czas. [...]

Około trzech tysięcy dzieci zebrze na ulicach, następne dziesięć tysięcy, w połowie lub zupełnie sieroty, to dzieci opuszczone, a następne dwadzieścia tysięcy dzieci puka do drzwi kuchni ludowych i domów dziecka, aby dostać choć tę biedną miskę jedzenia, ale te wszystkie szacunki są tylko przybliżone, bowiem śmiertelność z powodu głodu i epidemii jest straszna. Ciągłe rośnie i nikt dziś nie wie, jak wielka będzie w następnym miesiącu. Umiera opuszczone dziecko – lżej mu. Kiedy jednak umierają rodzice – przybywa następnych opuszczonych dzieci. Tak oto problem dzieci staje się najważniejszą kwestią dnia w getcie, można powiedzieć: głównym pytaniem o żydowskie przetrwanie w getcie.

[Perc Opoczyński (1893–1943?) był dziennikarzem przedwojennej prasy żydowskiej, w czasie okupacji niemieckiej współpracował z Oneg Szabat – Archiwum Ringelbluma. Jego reportaże z warszawskiego getta ocalały z pożogi wojennej. W przytoczonym fragmencie zachowano miejsca uszkodzenia tekstu uniemożliwiające jego odczytanie (w nawiasach okrągłych) zaznaczone przez autorkę ich przekładu i redaktorkę Monikę Polit].

[W lutym 1942 r. w getcie warszawskim powstał tajny zespół lekarzy żydowskich (jako Organizacyjny Komitet Badawczy), który rozpoczął badania nad chorobą głodową, dokumentując zbrodniczą politykę niemiecką w stosunku do obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Wpływ głodu na dzieci badała Anna Braude-Heller. Materiały do tej pracy, w tym również fotografie, opracowane przez Braude-Heller



pod tytułem *Obraz kliniczny głodu u dzieci*, zostały przekazane prof. Witoldowi Orłowskiemu i opublikowane w 1946 r. w zbiorowej pracy *Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim z roku 1942*, pod redakcją Emila Apfelbauma. Anna Braude-Heller (1888–1943) była lekarzem, od 1930 roku dyrektorem Szpitala dla Dzieci im. Bersohnów i Baumanów, jedyną kobietą na takim stanowisku w Warszawie. Jak pisała Halina Grubowska, „była całkowicie oddana pracy szpitalnej. Niewiele czasu poświęcała praktyce prywatnej. Pracowała około 16–18 godzin na dobę. [...] Szpital miał doskonałą opinię wśród ludności, która starała się o kierowanie tam swych chorych dzieci. Uchodził za szpital wzorcowy i władze miejskie z dumą demonstrowały go wizytatorom i przyjezdnym cudzoziemcom”. W dowód swoich zasług została wybrana do Komisji Etyki Zawodowej Zrzeszenia Lekarzy Rzeczypospolitej Polskiej. We wrześniu 1939 r. kierowała szpitalem w czasie obrony Warszawy, a następnie w okresie okupacji niemieckiej, kiedy szpital znalazł się na obszarze getta. Pełniła również funkcję przewodniczącej Komisji Zdrowia Żydowskiej Izby Lekarskiej w warszawskim getcie. Z powodu masowych zachorowań dzieci, głównie na tyfus i chorobę głodową, spowodowanych warunkami stworzonymi przez Niemców w getcie, staraniem Braude-Hellerowej w lipcu 1941 r. utworzono filię szpitala przy ul. Leszno 80 (róg Żelaznej). 12 sierpnia 1942 r. Niemcy wydali rozkaz likwidacji szpitala. Część pacjentów wywieziono do obozu zagłady w Treblince. Pozostałych umieszczono w prowizorycznym szpitaliku przy Umschlagplatz (obecnie ul. Stawki), a następnie przy ul. Gęsiej 6/8 (obecnie ul. Anielewicza). W tym ostatnim szpitalu w warszawskim getcie Braude-Heller objęła funkcję wicedyrektora. Mimo możliwości ratunku oraz licznych próśb rodziny i przyjaciół odmówiła opuszczenia getta i pozostawienia znajdujących się pod jej opieką pacjentów, głównie dzieci. Krótco przed pierwszymi walkami w getcie, na przełomie 1942 i 1943 r. szpital przeniesiono do bunkra (tzw. bunkra lekarzy), zbudowanego pod budynkiem przy ul. Gęsiej. Po upadku powstania w getcie została wywieziona do niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku i tam zamordowana 3 listopada 1943 r.]



## 2. „W dwudziestym wieku po narodzeniu Chrystusa”

[Ludwik Hirszfeld, *Historia jednego życia*, Warszawa, Czytelnik, 2000]

Mamy uczucie, żeśmy przeszli z chłodnego pokoju do przepelnionego, cuchnącego więzienia, gdzie przestajemy być ludźmi, gdzie każdy może nas uderzyć i gdzie jesteśmy jedynie częścią wzgardzonej masy. Właściwie dostajemy się do obozu koncentracyjnego stworzonego po to, by się ludzie wzajemnie pożarli i by zginęli z głodu, epidemii i obrzydzenia. W dzielnicy aryjskiej na hektar przypada dziesięć razy mniej ludności niż tutaj. Tam postanowiono wyniszczyć przede wszystkim inteligencję, tutaj wszystkich. Tam pozwalają żyć życiem pacholków, tutaj przeznaczeniem ma być śmierć w pogardzie. Na ulicach takie tłumy, że niepodobna się precyzyjnie przemieszczać, przechodzi się jezdnią przez gęstą, zwartą masę. Tłum obdarty do ostateczności: widzi się ludzi w łachmanach, nawet bez koszuli. Na ulicach setki handlujących, głównie kobiet i dzieci. Sprzedają wszystko: guziki, nici, stare ubrania, obarżanki, papierosy, jakieś egzotyczne wyroby cukiernicze. Ulica ma swoistą melodię: nieopisany zgiełk i gwar, w którym odróżnić można jednak cieniutkie, zrezygnowane głosy dzieci: „bajgiełki sprzedają, bajgiełki, bajgiełki, papierosy, cukierki”.

[...]

Obok wachy trzeba przechodzić z obnażoną głową. Jeśli kto kapelusza nie zdejmie, żołnierz strzela w tłum. Po raz pierwszy, gdy przechodziłem z żoną i córką, nie chciałem zdjąć kapelusza. Przecież chowano nas na przykładzie Wilhelma Tella. Ktoś musi dać przykład dumy, myślałem. Wtem słyszę za sobą głos z tłumu: „Panie, niech pan nie naraża ludzi”. – Ugiąłem się. Początkowo mieliśmy obowiązek kłaniać się spotykanym Niemcom. Później wydany został zakaz kłaniania się. Ale wynik był ten, że czasem bito Żyda za to, iż zdejmował kapelusz, a czasem za to, że nie zdejmował. Ludzie, dla których zdjęcie kapelusza było symbolem niewoli, nie nosili kapeluszy. A w zimie należało chodzić ostrożnie: jeśli się z daleka widziało Niemca, przechodziło się na drugą stronę. W ten sposób tworzyła się koło Niemców aura: należało ich obchodzić jak dzikie zwierzęta, co kąsają. Czasami mknę przez jezdnię samochód z Niemcami. Zwalniają biegu, przyglądają się widowisku. Rzeczywiście, ci Żydzi nie przypominają Europejczyków. Wyglądają jak dzikie zwierzęta. Tylko że w ogrodach zoologicznych jest zwykle napis: „Nie drażnić zwierząt”. Istnieją też towarzystwa ochrony zwierząt. Tutaj przeciwnie – męczyć należy do dobrego tonu. Czasami młody oficerek wyjmuje rewolwer i strzela w tłum. Jak pociesznie wyglądają takie uciekające Żydki. Albo widzę, jak samochód staje, wysiada zeń oficer lub żołnierz



siedzący obok szofera i długim pejczem wali przechodniów. Albo też przywołuje skinieniem ręki Żyda i bije go.

[...]

Mała dziewczynka próbuje precyzyjnie się przez wachę, żołnierz woła ją do siebie i zdejmując powoli karabin. Dziecko obejmuje jego but błagając o litość. Żołnierz uśmiecha się i mówi: „Nie umrzesz, odechce ci się tylko szmuglu”. I strzela w obie nóżki. Małe nożyny dziecka strzaskane. Trzeba je amputować. Rzeczywiście, nie będzie się więcej zajmowała szmuglem. Albo inna scena: Żołnierz każe dziecku iść przed siebie i celuje. Dziecko zawraca, klęka i prosi o darowanie mu życia. Żołnierz znów każe iść i strzałem w plecy zabija małe dziecko. Albo też poprzez drut kolczasty Żyd kupił gazetę od chłopca z dzielnicy aryjskiej. Kupowanie w tej dzielnicy jest Żydom wzbronione. To przestępstwo zasługuje na karę śmierci. Pada strzał i już po Żydzie. W tej chwili przybiega mały piesek. Niemcy lubią zwierzęta. Zabójca schyla się i głaszcze pieska. Działo się to na ulicy Chłodnej w Warszawie, w dwudziestym wieku po narodzeniu Chrystusa.

[Ludwik Hirszfeld (1884–1954), lekarz, wybitny immunolog. Przed I wojną światową zaczął badania nad grupami krwi, które kontynuował jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wprowadzając przyjęte powszechnie w 1928 roku oznaczenia poszczególnych grup. Po ucieczce z getta ukrywał się, m.in. u Stanisława Kaflika w Klembowie. Od 1945 roku pracował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wrocławskiego. W 1950 roku był nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny].



### 3. Zagłada warszawskiego getta

[M.B. [Antoni Szymanowski], *Likwidacja ghetta warszawskiego* [Warszawa 1942] [w:] *Tryptyk polsko-żydowski*, oprac. Władysław Bartoszewski, Warszawa, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, 2003]

#### Czwartek, 23 VII

Od tyłu miesiący co dzień widziałem ghetto, przyzwyczaiałem się do jego wyglądu – dziś zastałem je zmienione nie do poznania, wymarłe, jakieś głuche i osłupiałe z grozy. Wczoraj wywieziono 5 tysięcy ludzi. Ma to być, zdaje się, norma codzienna. W ten sposób – licząc, że pozostanie jakieś 15 proc. mieszkańców – wysiedlanie trwałoby ze 2 miesiące.

Naokoło murów stoją gęsto posterunki niemieckich żandarmów. Przechodząc Chłodną, widziałem, jak wartownik taki spostrzegł, że ktoś w ghetcie zbliżył się do okna, natychmiast bez ostrzeżenia zmierzył i strzelił. W obrębie zaś getta, ulice do wczoraj jeszcze rojące się od ludzi dziś całkowicie opustoszały. Nieliczni, pojedynczy przechodnie przemykają się lękliwie. Ciągła muzyka strzałów. Przed budynkiem Gminy, przed Komendą Żydowskiej Policji, przed paru największymi firmami – kręcą się grupy ludzi. To pogoń za „Ausweisem”, za dokumentem jakimkolwiek stwierdzającym, że jest się zatrudnionym, że się nie podlega wysiedleniu. Już dziś niektórzy płacą za taki papierek setki, czasem tysiące złotych. Dowiaduję się, że w nocy „urzędowali” Niemcy. Bo akcję dzienną gromadzenia transportu prowadzą żydowscy milicjanci. Opróżnili więzienie, zabrali łżej chorych ze szpitala, zabrali mieszkańców „Domu Schronienia” dla starców. Lecz w nocy grupy Niemców wpadały po prostu do mieszkań, wywlekali kilka, kilkanaście osób na ulicę i przed dom – doraźna egzekucja. Zginęło podobno sto kilkadziesiąt osób. Widziałem nieuprzątnięte zwłoki na Śliskiej, na Pańskiej.

Sklepy wszystkie niemal pozamykane, pozabijane deskami. Tylko sklepy rozdzielcze niektóre pootwierane, lecz chleba nie wydano. Obcy Żydzi zaczepiali mnie na ulicy, widząc, że jestem bez opaski na ramieniu: „Panie, co będzie z nami? Co mówią Polacy? Panie – pomocy!”. Nikt chyba nie spał w ghetcie tej nocy. Pakowali rzeczy, uciekali z jednej ulicy do innej, chronili się w piwnicach. Opowiadali mi o tłumie, który noc spędził w domie modlitwy – zawodząc i lamentując.

[...]



### Środa, 29 VII

Dokąd odchodzą transporty? Tego właśnie nikt nie wie na pewno. Mówią o Bełcu, o Sobiborze, najwięcej o Treblince. Niedaleko za Warszawą odbywa się podobno selekcja – starców, kaleki, dzieci – wszelkie „nieużytki” – strzelają, zdaje się, na miejscu, reszta jedzie do owej Treblinki. Po ghetcie kursują wieści rzekomo od wywiezionych, z Brześcia, z Siedlec że dano im pracę, mieszkanie, jedzenie – wszystko to lansują Niemcy, aby pozostałych, następne ofiary, utrzymać w jakim takim spokoju.

Co do samej „akcji” – trudno uchwycić w niej jakiś porządek i plan, kolejność. Już nie 5 tysięcy, lecz 7 dziennie wyjeżdża. Przez pierwszą połowę dnia zbierają ten kontyngent Żydzi (milicja), później dopełniają go Niemcy. Ci po prostu „blokują”, czyli obstawiają dom i już biorą wszystkich – bez różnicy i wyboru. W ogóle trudno jest zorientować się, według jakiego planu odbywa się całe wysiedlanie. Zdaje się, że najzupełniej chaotycznie. [...]

### Piątek, 31 VII

Trwają polowania na ludzi na ulicy, dorywcze morderstwa, pogromy. W ghetcie hulają „junacy”. Któż to jest? Niemcy sprowadzili tu całe mnóstwo siepaczy i łotrów: są to Łotysze (w mundurach khaki z ro[m]bem bordo na kołnierzu) – tych jest podobno 250. Są Litewscy „szaulisi”, Ukraińcy, Rosjanie zwolnieni z niewoli niemieckiej (ci wszyscy mają mundury czarne). „Junakom” pozostawiono – zdaje się – całkowitą swobodę działania. Oni rabują opuszczone domy, wpadają też do mieszkań zaludnionych – wszyscy obecni zostają natychmiast zastrzeleni, bez żadnego powodu, bez prawa do wylegitymowania się. Tak przecie zginął przed paru dniami dr [Franciszek Paweł] Raszeja, znakomity chirurg, który najlegalniej, za przepustką był u żydowskiego pacjenta. Wraz z nim drugi lekarz, ochrzczony Żyd z ghetta i szereg osób – wszyscy właściwie prócz... chorego [informacja nieścisła – chory, Abe Gutnajer, również padł ofiarą tej zbrodni]. „Junacy” urządzą sobie najróżniejsze zabawy. Potworne sceny widzi się codziennie, gdy ci chłopcy, nieraz poniżej 20 lat, potrafią np. strzelać z tyłu do człowieka stojącego na ulicy czy na balkonie. Potrafią wziąć riksę, z żydowskim naturalnie kierowcą, i rozjeżdżać po ulicach, zabawiając się strzelaniem do przechodniów. Potrafią wdać się z kimś w rozmowę, spacerować z nim po ulicy, by nagle wyciągnąć broń i z najzimniejszą krwią go zabić. Ale i Niemcy sami... Dziś byłem świadkiem zbiegowiska, gdy żandarm niemiecki zastrzelił człowieka. Zbiegli się oczywiście tylko milicjanci. Jeden z nich powiedział mi po tym, że ów żandarm kazał jak najdokładniej sprawdzić zawartość kieszeni zabitego, dowiedzieć się o adres, zawiadomić rodzinę! Po czym wyjął ołówek i w notesie zapisał imię i nazwisko



swej ofiary – pod numerem 182. Zapomniałem też zapisać wczoraj, że na mur przylegający do Umschlagplatzu wszedł po drabinie niemiecki urzędnik celny – celnik, nie żołnierz, ani policjant – i zaczął się bawić strzelaniem do okien z karabinu, siadłszy okrakiem na murze.

### **Poniedziałek, 3 VIII**

Wczoraj wywieziono cały internat dziecięcy kierowany od wielu lat przez znanego wychowawcę i literata Janusza Korczaka. Jemu samemu pozwolili Niemcy pozostać – lecz nie przyjął tego. Poszedł z dziećmi w ich ostatnią drogę. Ale już na placu rozdzielono ich i umieszczono w oddzielnych wagonach. Ludzie, którzy byli świadkami tego wywozu, mówią, że nie widzieli nic bardziej wstrząsającego. Takie postępowanie zdarza się tu częściej. Tak cały personel szpitala dzieciennego żydowskiego nie opuścił swych pacjentów, gdy ich porywano. Z Korczakiem też poszli jego pomocnicy. Jego samego znała przecież cała Polska jako „starego doktora” z gawęd przed mikrofonem radia. Jego książki dla dzieci pozostaną w polskiej literaturze. Chce się wołać: cześć jego heroicznej decyzji, tej śmierci, która ukoronowała piękne, pozytywne życie! Wieczna hańba zbirom, mordercom dzieci!

Do wczoraj wywieziono z ghetta sto tysięcy osób.

[...]

### **Środa, 12 VIII**

Zeszłej nocy Ukraińcy i Łotysze dokonali w ghetcie masakry paru tysięcy ludzi. Zabijano w mieszkaniach, na ulicach. Rano napotkałem 2 duże wozy nalożone trupami d z i e c i zupełnie małych (do 2 lat). Dziś rano widziałem na gmachu Sądów (Leszno) ustawiony karabin maszynowy i przy nim łotewską obsługę. Serie strzałów terkotały co chwilę – w dół w ulicę, i wprost na dachy innych domów. [...]

### **Czwartek, 13 VIII**

Wiele ulic jest już całkowicie opróżnionych. Oddziały SS dokonują tam ostatecznej kontroli. Przy znalezieniu ukrywających się są oni natychmiast rozstrzeliwani. Za takim oddziałkiem maszeruje grupa Żydów z noszami do usuwania zwłok zastrzelonych. Rewizja domów jest oczywiście tytułem do rabunku przede wszystkim. Zastają sceny czasem straszliwe. Dom pusty zupełnie, lecz opuszczony z chwili na chwilę: na stole stoją jeszcze talerze z jedzeniem, na łózkach rozrzucona pościel, szafy, szuflady pootwierane. W pokoju jednym zwłoki chłopca z rozbitą głową. Może się bro-





nił? W innym opustoszałym mieszkaniu w łóżku leży kobieta, nie reaguje na żadne krzyki. Jest martwa, przy łóżku tubka po weronalu.

Dziś na rogu Żelaznej i Krochmalnej „junak” wystrzałem z karabinu zabił Żydówkę idącą z 4-letnim dzieckiem. Matka pada, dziecko całe zbroczone jest krwią, rączkami czerwonymi od krwi szarpie matkę, mażąc jej twarz krwią. (Opowiadanie świadka, słyszy się dziesiątki takich faktów codziennie).

### **Wtorek, 18 VIII**

Nie pisałem kilka dni. Do dziś akcja trwa z nieustającą, ba, coraz wzmagającą się gwałtownością. Zabierają 7–10 tysięcy dziennie. Liczba wywiezionych przekroczyła 200 tysięcy. Historia nie zna masakry dokonanej na zimno, z rozporządzenia władz. W podobnych rozmiarach tylko masakrę można to nazwać. Istotnie dwa lub trzy transporty skierowano na wschód w strefę przyfrontową – tam uprzątają tereny z min lub kopią doły przy pracach fortyfikacyjnych. Lecz reszta cała jest zgładzana – niema już co do tego złudzeń, ani wątpliwości. Krążą nawet potworne pogłoski o przerabianiu zwłok na rzeczy użyteczne, np. na mydło. [...]

### **Środa, 19 VIII**

Wczoraj zarządzono, aby wszystkie dzieci żydowskie stawiły się jutro na Umschlagplatzu. Także wszyscy nieposiadający kart pracy. Zaciekłość w tępieniu małych dzieci jest zdumiewająca. Dziś wieczorem widziałem na rogu Gęsiej i Okopowej grupę około 150–200 małych dzieci zbitą w ciasny tłum. Naprzeciwko stało paru Niemców z karabinami wymierzonymi w ten tłumek. Dzieci najwidoczniej szalały ze strachu, płakały, kuliły się, gryzły palce. Na boku stała osobno grupka kobiet – to pewnie matki. Jedna z nich wyrwała się z szeregu, podbiegła do Niemca, by mu coś tłumaczyć, gestykulowała, ukazywała na jakieś dziecko. Niemiec ryknął na nią, jak to oni tylko umieją – kazał jej wracać do innych. Groził jej karabinem. Gdy odwróciła się i biegła z powrotem – wystrzelił, kładąc ją trupem.

### **Piątek, 28 VIII**

Los wysiedlonych jest już mniej więcej wiadomy. Może jeden czy dwa transporty odeszły istotnie na wschód, zawożąc do jakiej zafrontowej pracy wybranych ludzi młodych, zdrowych i silnych. Lecz cała olbrzymia masa jest codziennie kierowana do Treblinki. To miejsce okryte grubą ścianą milczenia, lecz przecież wiadomości ułamkowe przeciekają. Pociągi pasażerskie nie zatrzymują się na tej stacji. Pociągi z Żydami podjeżdżają pod obóz i wagony są stopniowo podciągane po dziesięć czy



dwadzieścia. Po wypędzeniu z niej przybyłej partii następuje złożenie wszelkich posiadanych rzeczy, a najpierw pieniędzy i kosztowności. Potem Żydzi rozbierają się do naga i przechodzą do „łaźni”. Wielki napis objaśnia że po kąpiel nastąpi przydział odzieży i stopniowe wysyłanie do miejsc pracy. Lecz idzie tylko o niewzbudzenie paniki i oporu. Bo ta kąpiel – to już koniec. Rzekoma łaźnia jest komorą śmierci. Nie wiem, czy gaz trujący, czy prąd elektryczny, czy powolne usuwanie powietrza jest stosowane. Ale wiadomo, że następnym etapem jest już tylko dół pospólny, dół wykopany specjalnymi maszynowymi bagrownicami. W tym dole gęstymi warstwami ciała mężczyzn, kobiet i dzieci. Straż obozu pełnią Ukraińcy pod komendą SS. Opływają oni w gotówkę, płacą w okolicy tysiące za wódkę, za kobiety. A w promieniu wielu kilometrów od obozu powietrze przenika tak ostry fetor zgnilizny z rozkładających się zwłok, że chłopci okoliczni uszczelniają zamknięte dniem i nocą okna paskami papieru. Można by w tym widzieć symboliczny obraz Europy podbitej. Dzieje się coś złowrogiego, niepodobna dotrzeć do jądra wydarzeń, a naokoło smród. „Nowy Ład”.

[Antoni Szymanowski (1914–1985), historyk, dyplomata, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie okupacji niemieckiej w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej, współredaktor „Biuletynu Informacyjnego”, działał również w konspiracyjnym Stronnictwie Demokratycznym. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie pracował w dyplomacji PRL, był m.in. ambasadorem w Szwecji].



#### 4. „Czekają, aż obetniemy ich piękne włosy”

[Jechiel Rajchman, *Ocalałem z Treblinki. Wspomnienia z lat 1942–1943*, przekład Bella Szwarzman-Czarnota, oprac. Bella Szwarzman-Czarnota, Ewa Koźmińska-Frejłak, Warszawa, Czytelnik, 2011]

Patrzę na te ofiary szeroko otwartymi oczami i nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Każda kobieta siada przed fryzjerem. Przede mną siada młoda kobieta. Mam sparaliżowane ręce, nie mogę ruszać palcami. Kobiety siedzą naprzeciwko nas i czekają, aż obetniemy ich piękne włosy. Płaczą głośno, przeraźliwie.

Mój kolega zaczyna na mnie krzyczeć: „Pamiętaj, będziesz zgubiony, morderca stoi obok i widzi, że pracujesz powoli!”

Rozprostowuję palce brudnej ręki, ścinam włosy tej kobiety i wrzucam je do wazki, tak jak moi koledzy. Kobieta wstaje z krzesła. Widzę, że jest oszołomiona od rąb, jakie jej wymierzono. Pyta mnie, w którą stronę ma iść, więc pokazuję jej drugie wejście, po lewej. Nie zdążę się nawet obrócić, gdy siada następna kobieta. Chwyta moją dłoń i chce ją pocałować:

– Błagam, niech pan mi powie, co oni zrobią z nami? Czy to już nasz koniec?

Płaczę i proszę, żebym jej powiedział, czy czeka ją bolesna śmierć, czy to będzie długo trwało, czy zostanie zagazowana, czy zabita prądem elektrycznym...

Nie odpowiadam jej. Ale ona nalega, wciąż prosi, bym jej powiedział, choć i tak wie, że jest zgubiona. Nie jestem w stanie nic jej wyznać i uspokajam ją. Ta rozmowa trwa kilka sekund, tyle, ile obcięcie włosów. Odwracam głowę, żeby nie patrzeć jej w oczy. Morderca, który stoi obok nas, wrzeszczy:

– *Los! Schneller die Haare schneiden!*

Kobieta jest zupełnie zdezorientowana. Po chwili opanowuje się, wstaje i wybiega.

Kobiety siadają kolejno jedna po drugiej, a nożyce tną i tną ich włosy bez chwili przerwy. Słyszeć płacz i krzyki. Niektóre wprost odchodzą od zmysłów, a my musimy na to patrzeć i nie wolno nam nic mówić.

Siada przede mną starsza kobieta. Ścinam jej włosy, a ona mnie prosi, żebym spełnił jej ostatnie życzenie przed śmiercią, żebym ścinał nieco wolniej, bo przed moim kolegą stoi jej córka i ona chce z nią razem pójść na śmierć. Staram się zatrzymać tę kobietę, a jednocześnie proszę mego kolegę, aby szybciej ścinał włosy dziewczyny, tak żeby mogły razem wejść do komory gazowej.

Chcę spełnić ostatnie życzenie starszej kobiety, ale morderca krzyczy na mnie i smaga mnie pejcem po głowie. Muszę się spieszyć i nie jestem w stanie trzymać dłużej matki. Musi biec bez córki...



Ścinam dalej włosy i nagle słyszę krzyk. Oglądam się i widzę, że wbiega młoda, mniej więcej osiemnastoletnia dziewczyna i krzyczy na pozostałe kobiety:

– Co się z wami dzieje? Wstydzicie się! Przed kim płaczecie? Śmieście się raczej! Niech nasi wrogowie widzą, że idziemy na śmierć nie jak tchórze. Mordercy cieszą się z naszych łez!

Wszyscy stanęli jak wryci. Mordercy rozglądają się dokoła, wpadają w jeszcze większą wściekłość, a dziewczyna śmieje się cały czas aż do chwili wyjścia.

Jako jedna z nieszczęsnych ofiar siada przede mną młoda, ładna dziewczyna. Prosi:

– Nie ścinaj mi wszystkich włosów. Jak ja będę wyglądać... Nie mogę jej odpowiedzieć. Cóż mogę rzec? Uspokajam ją. [...] Tak przechodzą setki kobiet z płaczem i krzykiem, a ja jestem automatem, który pozbawił je włosów.

[...] Wkrótce wchodzi kilku morderców, rozkazują nam śpiewać. Jakąś ładną piosenkę. Doświadczeni fryzjerzy wiedzą, co to oznacza: jeśli nie zaśpiewamy, zostaniemy skatowani, więc kilku z nas ze strachu zaczyna śpiewać. Jestem wstrząśnięty: tam, w komorze, zagazowują ludzi, a my mamy śpiewać. Jeden z morderców dostrzega, że mam zamknięte usta, więc podbiega do mnie: „Ty psie, chcesz dostać w pysk?!”

Otwieram na siłę usta, tak jak do śpiewu. Musimy śpiewać, żeby rozweselić morderców i żeby było im przyjemnie. Od czasu do czasu jeden z nich wychodzi na korytarz i przez okienko sprawdza, czy ofiary są już uśmiercone.

Tak mija pół godziny. Wchodzi morderca i melduje, że mamy na nowo zacząć pracę. Wracamy na miejsca, aby strzyc nowe ofiary. I znów rozlega się straszliwy płacz i pojawiają się nagie kobiety.

Praca odbywa się bez przeszkód. Po upływie godziny cały transport zostaje zlikwidowany: zagazowano kilka tysięcy osób.

[Jechiel Rajchman (1914–2004) pochodził z Łodzi, pracował w przemyśle tekstylnym. W październiku 1942 roku został wywieziony z getta w Ostrowie Lubelskim do obozu zagłady w Treblince. Brał udział w buncie więźniów 2 sierpnia 1943 roku. Ukrywał się początkowo u nieznannej rodziny chłopskiej na wschodnim Mazowszu, a następnie w Piastowie i w Warszawie, najpierw dzięki pomocy Waława Jarosza, a później innych Polaków. Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie mieszkał w Urugwaju].



## 5. Brązowe paletko najmłodszej siostry

[Samuel Willenberg, *Bunt w Treblince*, oprac. Andrzej Żbikowski, Warszawa, Biblioteka „Więzi”, 2004]

I znów usłyszeliśmy uderzenia zderzaków wagonów wpychanych na peron i po paru minutach zaczęli biec nadzy ludzie – jedni z walizkami w ręku, inni przyciskali rozdgotanymi rękoma swe rzeczy do piersi. Bici rozsypywali je na swej ostatniej drodze i tak na ziemi pozostawały pojedyncze skarpetki, pantofle zawiązane sznurkiem, stanki. Esesman „Kiwe” zawołał vorarbeitera i kazał od razu sortować rzeczy z nowego transportu, by, jak powiedział, nie niszczyły się na deszczu. W tym dniu zbierałem posortowane palta i układałem nową stertę. Biegałem po całym placu, od ścieżki śmierci aż do lazaretu, wzdłuż baraku między peronem a placem, na którym leżały tysiące otwartych walizek różnej wielkości, z matowej skóry, oblepionych barwnymi nalepkami hoteli i kurortów międzynarodowych, dając świadectwo zamożności ich byłych właścicieli. Większość waliz była zrobiona ze zwykłej fibry czy z tektury i wytarta na kantach, tylko nazwiska były zawsze wypisane świeżą, błyszczącą farbą i świadczyły o nędzy europejskiego żydostwa. A wszystkie te walizki – duże i małe – miały jedno wspólne znamię: wyrwane zamki i zaduszonych gazem właścicieli. Teraz rozłożone na piasku tworzyły jakby stragan na małomiasteczkowym rynku. Więźniowie stali wśród otwartych waliz i sortowali wszystkie rzeczy przywiezione przez około milion Żydów z okupowanej Europy na ten skrawek wyjąłowanej ziemi. I tak wypełniały się walizki, te eleganckie i te tandetne, nożami, łyżkami, okularami, scyzorykami, pędzlami do golenia, wiecznymi piórami i innymi drobnymi rzeczami. Plac rozbrzmiewał krzykami vorarbeiters: – Kurwa, kurwa wasza mać, *Arbeit, Arbeit, schnell, schnell!* Każdy wywijął pejcem nad głowami więźniów, by pokazać Niemcom, że praca wre, że u niego wszyscy pracują dobrze, a w gruncie rzeczy obserwował, czy esesman nie zbliża się do grupy więźniów i nie zaskoczy ich przy trzymaniu jednej marynarki czy innej szmaty po pół godziny w ręku. Nikomu się tutaj nie śpieszyło. Mieliśmy czas, mimo naszej tragicznej sytuacji wiedzieliśmy, że Niemcy nas potrzebują, by posortować te wszystkie lumpy, a każdy dzień pracy przedłużał nasze życie. Ten obłąkany plac przelatywałem setki razy dziennie. Inni więźniowie biegali, popychając wózki dziecięce, ale już bez dzieci, bo dzieci zostały wyjęte z wózek i wepchnięte w nagie ramiona swoich matek, którym kazano je rozebrać z kaftaników i majteczek, i nawet pieluszki zostały rzucone na piasek w baraku. Nagie kobiety z dziećmi gnane były do stojących rzędem fryzjerów, a potem



pędzono je dalej – na ścieżkę śmierci, do komór gazowych. Wózki dziecięce służyły w Treblince do zbierania butelek, termosów, słoików, naczyń aluminiowych. Ci więźniowie mieli prawo przejść przez plac transportowy, by dostać się do magazynu, mieszczącego się za barakiem kobiet, gdzie piętrzyły się sterty poukładanych butelek rozmaitych kształtów. Grupa ta nazywała się komando „Flaszensortiren”. Gdy przełatywałem koło rozrzuconych ubrań i paczek po rannym transporcie, vorarbeiter Nojmark, częstochowianin, krzyknął do mnie: – Weź tę paczkę palt. Paczka była już posortowana, przewiązana dwoma paskami od spodni. Gdy się schyliłem, aby ją podnieść, mignął mi znajomy kolor. Nachyliłem się i wyciągnąłem małe brązowe paletko mojej najmłodszej siostrzyczki Tamary i połączoną z nim spódniczkę mojej starszej siostry Ity, jakby splecione w siostrzanym uścisku. Trzymałem spódniczkę i paletko z dosztukowanymi mankietami z zielonego materiału, które nasza mama przyszyła w getcie. Tamara podrosła i paletko zakupione jeszcze przed wojną było na nią za małe. Zrozumiałem, że starania mamy, żeby wydostać je z więzienia w Częstochowie, spełzły na niczym. Patrzyłem na kolorowy plac sortowni, na pochylonych więźniów, na nagich mężczyzn noszących odzież po swych gazowanych w tej chwili rodzinach. Z peronu dolatywał stuk wtaczających się wagonów z nowymi ofiarami.

[Samuel Willenberg (1923–2016) pochodził z Częstochowy. Uczestniczył ochotniczo w obronie Polski we wrześniu 1939 roku, był ranny w potyczce z Armią Czerwoną. W końcu 1942 roku wywieziony z getta w Opatowie do obozu zagłady w Treblince, brał udział w buncie więźniów 2 sierpnia 1943 roku. Później ukrywał się w Warszawie. Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie mieszkał w Izraelu, pracował jako geodeta].



## 6. Zagłada w Treblince

[Jankiel Wiernik, *Rok w Treblince*, przedmowa Władysław Bartoszewski, red. prowadzący Andrzej K. Kunert, Warszawa, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, 2003]

Przy pracy w obozie Nr 1 widziałem wszystko: jak się naszych braci prowadzi do zagazowania i jakie straszne koleje przechodzą jeszcze przed śmiercią. Był to okres, w którym przybywały transporty. Gdy pociąg zajeżdżał, spędzano natychmiast kobiety i dzieci do baraków. Mężczyzn zostawiano na podwórku. Kobiętom i dzieciom kazano się rozbierać. Naiwne kobiety wyjmują ręczniki i mydło, łudzą się, że będą się kąpać. Oprawcy żądają ładu i porządku. Biją i katuja. Dzieci płaczą. Dorośli jęczą i krzyczą. Nic nie pomaga, bat jest silniejszy. Osłabia jednych, cuci drugich. Po uporządkowaniu wszystkiego wchodzi kobiety i dziewczynki do fryzjerni i poddają się strzyżeniu. Teraz są już prawie pewne, że idą do kąpieli. Drugim wyjściem kierują się do obozu Nr 2, gdzie na silnym mrozie pozostają nagie, czekając na swą kolej, gdyż w komorach nie ukończyło się jeszcze gazowanie poprzednich ofiar. Było to wszystko zimą. Mróz siarczysty. Małe dzieci zupełnie nagie i bose muszą stać pod gołym niebem. A stoją tak godzinami. Czekają kolejki. Komory nie są jeszcze wolne. Dzieciom z zimna przyrastają stopy do zlodowaciałej ziemi. Stoją, płaczą, zamarzają. W szeregu biją Niemcy i Ukraińcy. Bestią dziką i podłą był Niemiec Zepf. Ten najbardziej znęcał się nad dziećmi. Gdy popychał kobiety, a te prosiły go, by nie napierał, gdyż mają przy sobie dzieci, wrywał im wówczas dziecko z rąk i albo rozrywał je w pół, biorąc za nóżki, albo główką uderzał o ścianę i odrzucał zabite. To nie były pojedyncze te wypadki, co kilka kroków odbywały się takie tragiczne sceny.

Mężczyźni przechodzili jeszcze stokroć gorsze męki niż kobiety. Rozbierali się na podwórzu. Musieli porządkować swoje ubranie, zanieść na plac i składać na stosie innych ubrań, następnie wchodził do baraku, gdzie rozbierały się kobiety, wynosili i układali odzienie kobiet. Gdy się ustawili, wybierano zdrowych silnych i dobrze zbudowanych i rozpoczynały się tortury. Bito ich do krwi. Bito ich w najbardziej wyszukany sposób. Ustawieni razem kobiety, mężczyźni, starcy i dzieci na dany znak ruszają. Przejść mieli z obozu Nr 1 do obozu Nr 2 do komór. Po drodze stała buda. Siedział tam wewnątrz ktoś i wołał, ażeby wszystkie wartościowe rzeczy oddawać. Ludzie łudzili się jeszcze, że żyć będą, starali się, co mogli, ukryć. To też wszystko znajdowali kaci. Jeżeli nie za życia, to po śmierci. Kto podchodził do budki musiał podnieść ręce do góry. I tak cały korowód śmierci przechodzi milcząco do komór z podniesionymi rękoma. Przed budynkiem komór stał Żyd wybrany przez Niemców,



tw. Bademeister. Nawoływał wszystkich do kąpeli, gdyż woda wystygnie. Ironia. Wpędzano tak wśród bicia i krzyków do komór. Jak wspomniałem, w komorach ciasno. Duszą się ludzie od samego tłoku. Motor również źle funkcjonował w nowych komorach. Nieszczęśliwi męczyli się całymi godzinami, nie mogąc zginąć. Sam szatan nie wymyśliłby straszniejszych mąk. Gdy otwierano komory, często było jeszcze dużo na wpół żywych, których kolba, kula lub mocniejsze kopnięcie dobijały. Często wpuszczano ofiary do komór na całą noc i nie puszczano w ruch motoru. Ciasnota i duszność robiły swoje, zabijając większy procent wśród strasznych mąk. Ale dużo pozostało żywych, przeważnie dzieci były odporne. Te po wyrzuceniu ich z komór żyły. Ale wszystkich dobijał wówczas rewolwer Niemca. Najgorsze było wystawanie na siarczystym mrozie nago w oczekiwaniu swojej kolejki okrutnej śmierci. Jednakowoż nie mniej straszne były komory. Z prawdziwą radością witali kaci transporty zagraniczne: tam podobno reagowano na te wysiedlenia. Ażeby więc nie wzbudzić podejrzania, co czynią z nieszczęśliwymi, wywożono ich w pasażerskich pociągach i pozwalano zabrać ze sobą wszystko, co niezbędne. Ludzie ci zajeżdżali elegancko ubrani. Przywozili ze sobą moc żywności i ubrań. W pociągu mieli obsługę, i nawet restauracyjny wagon. Dużo mieli ze sobą tłuszczu, kawy, herbaty itd. A naga rzeczywistość ukazywała im się nagle. Wyciągano ich z wagonów i wszystko odbywało się w ten sam sposób, jak już opisałem. Następnego dnia nie było po nich śladu. Pozostały tylko ubrania, żywność i praca, ciężka praca przy chowaniu trupów. Ilość transportów powiększała się z każdym dniem, ponieważ było już 13 komór do gazowania. Nieraz gazowano dziennie do 20 tys. O uszy nasze obijały się tylko krzyki, płacze i jęki.

[...]

Nie chcieli pozostawić śladów. [...] Zaczęto więc palić. I rozpoczęło się znowu wykopywanie i wnoszenie z grobów starców, dzieci, kobiet i mężczyzn. [...] Rozpoczęła się próba palenia trupów, która się nie udała. Okazało się że kobiety palą się lepiej od mężczyzn. Brano więc kobiety na rozpałkę. Ponieważ była to praca ciężka, więc rozpoczęła się konkurencja pomiędzy grupami – która więcej spali. Porobiono tablice i codziennie zapisywano ilość spalonych. Mimo to wyniki były bardzo słabe. Polewano trupy benzyną i tak palono. Kosztowało to zbyt drogo, a rezultat marny. Mężczyźni nie chcieli się prawie palić. [...] Straszny był to widok. Najokropniejszy, jaki oczy ludzkie kiedykolwiek oglądały. Gdy palono kobiety ciężarne, wtedy brzuch pękał, a dziecko wydstawało się na zewnątrz i tak się na łonie matki paliło. Na zbójach nie robiło to żadnego wrażenia. [...] Aż raz przybył do obozu Oberscharführer ze znakiem SS i zarządził prawdziwe piekło. Był to mężczyzna lat około 45,





wzrostu średniego, zawsze uśmiechnięty. [...] Twarz jego dosyć łagodna, nie wyrażała tego, co kryło się w jego podłej duszy. Prawdziwie miał z tego zadowolenie, gdy patrzył na palące się trupy. Płomień ten był dla niego najdroższym zjawiskiem. Pieścił go wzrokiem, leżał przy nim i uśmiechał się i przemawiał do niego. A piekło to rozniecił w ten sposób. Użył do tego maszyny, która wykopuje trupy tzw. bagier, i wyciągano naraz 3000 trupów na filarach betonowych 100–150 m długości układano ruszt z szyn kolejowych. Robotnicy układali trupy całymi stosami na ruszt i podpalali. [...] Czy może kto sobie wyobrazić tej długości ruszt na nim 3000 trupów dopiero co żywych ludzi?

[...]

[Jankiel Wiernik (1889–1972), przed wojną pracował w Warszawie jako wykwalifikowany cieśla i administrator domu Stefana Krzywoszewskiego – literata i dyrektora teatrów warszawskich. Latem 1942 roku został wywieziony z getta warszawskiego do obozu zagłady w Treblince. Był jednym z organizatorów buntu więźniów 2 sierpnia 1943 roku. Następnie ukrywał się w mieszkaniu Stefana Krzywoszewskiego. Jego świadectwo z Treblinki zostało opublikowane konspiracyjnie, w 1944 roku w Warszawie, staraniem Rady Pomocy Żydom, działającej w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego. Po wojnie mieszkał w Izraelu. W 1961 roku zeznawał jako świadek w procesie niemieckiego zbrodniarza Adolfa Eichmanna, odpowiedzialnego za realizację planu ludobójstwa na europejskich Żydach].



## 7. „Kartka ta pisana jest przez / ludzi tych którzy mają do / życia zaledwie kilka godzin...”

[Kartka znaleziona w odzieży przywiezionej z Chelмна do Pabianic, która w fabryce Kindlera była dezynfekowana i czyszczona w celu dalszego wykorzystania przez przesiedleńców niemieckich [w:] *Mówią świadkowie Chelмна*, red. Łucja Pawlicka-Nowak, Konin–Łódź, Muzeum Okręgowe w Koninie, Oficyna Bibliofilów Łódź, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, 2004]

Dnia 2 / IV.1943 r. / Kartka ta pisana jest przez / ludzi tych którzy mają do / życia zaledwie kilka godzin. / Kto tę kartkę przeczyta / tródn (!) mu będzie do wiary ! I czy to jest prawda, czy też / nie. Otóż jest to prawda / tragiczna, bo w tej miejsco- / wości znajdują się Wasi / bracia i siostry którzy także / zginęli tą samą śmiercią I Jest to miejscowość która / nazywa się Koło. W odległe / 12 km. Tego danego miasta / znajduje się ta „rzeźnia ludzi” / My zaś pracowaliśmy jako / rzemieślnicy. Pomiędzy / nimi nimi (!) byli krawcy / kamasznicy i szewcy.

[verso]

Rzemieślników było 17 – tu (?) / ludzi. Otóż mogę Wam podać / nazwiska tych ludzi.

- |     |                    |             |
|-----|--------------------|-------------|
| 1.  | Pinkus Grun        | z Włocławka |
| 2.  | Jonas Lew          | z Brzezin   |
| 3.  | Szama lka          | z „         |
| 4.  | Zemad Szumiraj     | Włocławek   |
| 5.  | Genyp Majer        | Kalisz      |
| 6.  | Wachtel Sycha      | Łęczycza    |
| 7.  | Srulek             | „           |
| 8.  | Beniek Jastrzębski | „           |
| 9.  | Nusbaum Aron       | Skępa       |
| 10. | Iser Strasburg     | Lutomiersk  |
| 11. | Muniek Płocker     | Kutno       |
| 12. | Felek              | „           |
| 13. | Josef Herszkowicz  | „           |
| 14. | Chaskel Żorach     | Łęczycza    |
| 15. | Wolf Indkiewicz    | Łódź        |
| 16. | Szyja Szłamowicz   | Kalisz      |
| 17. | Gecel              | Turek       |

Otóż są to nazwiska są to ludzi / tych których ja tu podaję. / Są to jednostki z setek tysięcy / którzy tutaj zginęli !



## 8. „Zwłoki paliły się szybko, z góry dorzucano wciąż nowe...”

[Zeznanie Bruno Israela – protokół przesłuchania oskarżonego-podejrzanego, 29 października 1945 roku [w:] *Mówią świadkowie Chełmna*, red. Łucja Pawlicka-Nowak, Konin–Łódź, Muzeum Okręgowe w Koninie, Oficyna Bibliofilów Łódź, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, 2004]

O godzinie 7 rano rozpoczynano przewożenie Żydów do lasu chełmińskiego. Woziły Żydów trzy samochody ciężarowe przykryte plandekami. Do samochodu ładowano 40–50 osób. Przy wsiadaniu liczono, również liczono przy wysiadaniu. [...] Każdy z samochodów miał 2–3, czasem 4 kursy dziennie. Były wypadki, że w ciągu dnia tracono jedynie połowę transportu. Drugą połowę tracono dnia następnego. O godzinie 4 kończono pracę. Pozostali przy życiu Żydzi nocowali tak jak i poprzedniej nocy w kościele.

W pracy nie mieliśmy pośpiechu. Żandarmi i SS-mani mówili, że w 1942 roku „robili dziennie 1000–1200 osób”. Transport, który przywiozły trzy samochody, wyładowywano w lesie chełmińskim na polanie przed barakami. Do przywiezionych Żydów przemawiał Bootmann [Bothmann], który mówił, że Żydzi pojedą na roboty do München albo Leipzig i że on ich tam poprowadzi. Mówił o sobie, że jest surowy, ale rzetelny i krzywda ich nie spotka. Mówił też, że starsi będą mieli służbę wewnętrzną, a młodszy zewnętrzną. Dalej zapowiadał, że nastąpi teraz kąpiel. Żydzi musieli rozbierać się w baraku, przy czym mężczyźni osobno, a kobiety osobno. Ubranie i bieliznę musiał każdy z rozbierających się położyć na ławce, obrączki i kosztowności położyć na półce nad swoim ubraniem. Później wszystkich razem, mężczyzn i kobiety, wpędzano do zagrody, u wyjścia której znajdował się Sonderwagen [rodzaj samochodu pancernego]. Żydów wpędzano przemocą do samochodu. Słysząc było wówczas krzyki i lamenty.

Nie pamiętam, jak nazywali się żandarmi, którzy wpędzali Żydów do samochodu. Było ich trzech. Nie ma ich na fotografii, wśród okazanych mi zdjęć. Jednym z żandarmów, którego nazwiska nie przypominam sobie, był szwagier Sliwkego. SS-mani również pomagali przy wpędzaniu do samochodów. Żydom mówiło się, że samochodem pojedą do kąpieli. Dawano im mydło, o ile nie mieli swego. Mówiono, że ręczniki dostaną przy kąpieli na miejscu. Żydzi nieraz nawet i w samochodzie jeszcze zachowywali spokój. Laaps [Laabs] zamykał drzwi samochodu i włączał motor. Zanim włączył motor, włożył pod samochód i przykręcał rurę wydechową z rurą idącą do motoru. Zaznaczam, że rura wydechowa przez podłogę wchodziła do środka wozu, tak że gaz spalinowy po włączeniu motoru szedł do wnętrza wozu, zatrzu-



wając w nim obecnych. Czy do benzyny dolewano chloroformu, eteru, wzgl[ędnie] inne składniki, tego nie wiem. Nie s[ł]yszałem o tym od nikogo.

Po kilku minutach samochód ruszał sprzed baraków w kierunku pieców krematoryjnych, które mieściły się na tej samej polanie, bliżej wjazdu. Po przybyciu samochodu przed piec otwierano drzwi, jakiś czas czekali, aż gaz ulotni się. Potem do wnętrza samochodu wchodził Żydzi-robotnicy i wyrzucali zwłoki. Następnie kilku robotników rewidowało zwłoki, wyrrywając złote zęby. Zwłoki rzucały do jednego z pieców krematoryjnych. [...]

O ile sobie przypominam, podpalano z dołu, przy czym podpalający musiał wejść pod ruszty przez popielnik. Zaznaczam, że do popielnika prowadził z ziemi korytarz, przez który usuwano popiół i który jednocześnie służył do tego, żeby był odpowiedni „ciąg”. Zwłoki paliły się szybko, z góry dorzucano wciąż nowe. Bywały wypadki, że Żydzi wyrzucani z samochodu i uważani za zmarłych – ożywali. Wówczas dobijano ich strzałami rewolwerowymi. [...]

Popiół wygrzebywano spod rusztów specjalnego typu pogrzebaczem, zakończonym żelazną deską. Popiół wraz z kośćmi wyrzucano na kupę, wybierano kości, które Żydzi tłukli specjalnymi tłuczkami na płycie cementowej. Kości i popioły workowano i w nocy rzucały do rzeki Warty przy młynie na Zawadkach. [...] Popioły i kości wywozili Laaps [Laabs], Runge, Kretschmer. Załadowane samochody czekały w Chełmnie do godziny 11.12 i o tej godzinie samochody wyjeżdżały w kierunku Koła.

[Bruno Israel, volksdeutsch, przed wojną pracował jako farbiarz w Łodzi, od 1941 roku służył w Hilfspolizei [Policji Pomocniczej], od 1943 roku w Schupo [Policja Ochronna], w stopniu Oberwachtmeistra przydzielony do Sonderkommando Kulmof (Chełmno). Był współodpowiedzialny za zbrodnie dokonywane na Żydach w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem i prześladowania Polaków, za co został w 1946 roku skazany przez polski sąd na karę śmierci. Ułaskawiany przez Bolesława Bieruta na dożywotnie więzienie, został zwolniony w 1958 roku].



## 9. „Od lasu jakieś strzały...”

[Kazimierz Sakowicz, *Dziennik 1941–1943*, oprac. Maria Wardzyńska, Warszawa, IPN, 2014]

### 11 VII

Pogoda dosyć ładna, ciepło, białe obłoki, wiatr, od lasu jakieś strzały. Prawdopodobnie ćwiczenia, bo w lesie stoi jakiś obóz amunicyjny, na drodze do wsi Nowosiółki, jest godzina koło 4 p[o] p[ołudniu], strzały trwają godzinę, dwie. Na „grodzieńce” [drodze między Wilnem a Grodnem] dowiaduję się, że do lasu „przypędzili” dużo Żydów. I raptem do nich strzelają. Był to pierwszy dzień rozstrzeliwań. Wrażenie przygnębiające. Strzały ucichły po godzinie 8 wieczorem, potem trwały nie salwy, lecz pojedyncze. Na „grodzieńce” posterunek litewski (wojskowy). Legitymuje przechodzących.

Na drugi dzień 12 VII, w sobotę, już wiemy, co to jest, gdy koło godz. 3 p[o] p[ołudniu] wprowadzili do lasu wielką partię Żydów, około 300 ludzi. Przeważnie inteligenci z walizkami, pięknie ubrani, znani z pracy gospodarczej itd. W godzinę później zaczęły się salwy. Strzelano po 10 osób. Zdejmowano płaszcze, czapki, buty (lecz nie spodnie).

Rozstrzeliwania trwają następne dni: 13 VII, 14 VII, 15 VII, 16 VII, 17 VII, 18 VII i 19 VII – sobota.

Strzelają szaulisi [strzelcy – litewska organizacja paramilitarna], wyrostki po 17–25 lat. W domu Juchniewiczza zainstalował się posterunek wojskowy, który ochrania teren. Na posterunek idzie partia (5 osób) Żydów po łopaty. Okazuje się, będą zasypywać wczoraj rozstrzelanych. Tak trwa tydzień. Potem posterunek zwinięto u Juchniewiczów. Tylko szaulisi strzelają i pilnują. Na grodzieńce posterunek zatrzymuje Żydów powracających z Drusk[iennik] do miasta lub z miasta i następnie przyłącza do partii idącej na „roboty”. Tak m.in. zostali „przyłączeni” jacyś dwaj Żydzi młodzi, idący z Wilna po szosie wraz z Żydówką.

Następne trzy dni, tj. 20, 21 i 22 VII, cicho.

### 23 VII

Sądny dzień, przypędzono około 500 osób. Strzelano do późna, krzyki „ja nie komunista”, „co robicie?”. Zaczęli uciekać, strzelanina po całym lesie, przez całą noc i rano. Wyłapywano, strzelano i dobijano. Dużo inteligencji. Parę osób dotarło do Jagiellonowa. Doganiano i zastrzelono, ale zdaje się, że kilku uciekło przez szosę grodzieńską.



Od 14 VII rozbierają do bielizny. Handel ubraniami na szeroką skalę, wozy ze wsi Górale koło przejazdu („grodzieńka”). Stodoła – centrala ubraniowa, skąd na koniec, po uprzednim załadowaniu do worków, wywożą. Handel na całego. Kupują ubrania za 100 rubli, a znajdują zaszyte 500 rubli! Szaulisi z wypchanymi plecakami, zegarkami, pieniędzmi itd. Handel na całego, za butelkę „skaidrioji” (3/4 litra) ubranie itd.

Na szosie Żydówki pytają: gdzie tu roboty.

Od 23 VII strzelają do końca miesiąca z wyjątkiem niedzieli, dnia 27 VII. Razem strzelano w lipcu w ciągu 17 dni, przeciętnie po 250–300 osób, tj. licząc po 275, 4675 osób, tylko mężczyźni i jedna kobieta „dołączona”. Prócz tego niemal co dzień dowożono samochodami po kilka lub kilkanaście osób, prawdopodobnie asów komunistycznych. Tak że razem w lipcu około 5000 osób rozstrzelano. Kruki, kruki zostają, strzały odpędzają ich.

[Kazimierz Sakowicz (1894–1944) był dziennikarzem z Wilna. W czasie okupacji niemieckiej służył w Armii Krajowej. Prowadził dziennik, w którym udokumentował masowe zbrodnie niemieckie i litewskie dokonane w latach 1941–1944 w Ponarach na wileńskich Żydach oraz Polakach. Śmiertelnie postrzelony przez szaulisów w lipcu 1944 roku, wkrótce zmarł. Świadkiem zbrodni na Żydach był również wybitny polski pisarz Józef Mackiewicz, który w opublikowanym w 1945 roku reportażu *Ponary-Baza* pisał m.in.: „Policjanci zaroili się, zwielokrotnili w oczach, zabiegali gestykulując i zrywając karabiny z pleców. Dał się słyszeć metalowy trzask zamków i ich, policjantów, dziki, groźny ryk, w odpowiedzi na ryk ludzi zamkniętych w pociągu. Zobaczyłem jeszcze, jak wróble uleciały z dachu wagonu, a będąc już oddzielony metalową siatką od fatalnego toru, zdążyłem wskoczyć pod okap budynku stacyjnego. Chwała Bogu, stało tam jeszcze dwóch kolejarzy w mundurowych czapkach. Nie byłem sam. Trzymam kurczowo rower i podświadomie czuję, że wobec tego co nastąpi, tego najstraszniejszego, co nastąpić musi, ten rower, ci kolejarze, do których przyłgnąłem, to stanie w miejscu bez ruchu, to jedyna legitymacja na prawo dalszego życia. Stłoczyliśmy się razem za tym rowerem jak za szańcem, bo uciekać nie było już gdzie. Żydzi zaczęli wyskakiwać z połamanych drzwi wagonów, a naprzeciwko biegli w sukurs straży, oprawcy w różnorakich mundurach. Z okien zaczęto wyrzucać tłumoki i walizki i oknami też wyłazili Żydzi, sami niechlujni i nieforemni, jak ich worki i pakunki. To było dziełem kilku sekund. [...] Powstał upiorny wrzask i lament, i wycie, i płacz, i ze wszystkich stron naraz gruchnęły strzały, gwizdnęły kule, spadły z chrzęstem łamanych kości i pękających czaszek, uderzenia kolb. – Ktoś skakał przez rów i trafiony między łopatki, spadł weń jak ciemny ptak z rozczapierzonymi



na kształt skrzydeł ramionami. – Ktoś pełził na czworakach pomiędzy szynami... Stary jakiś Żyd zadarł do góry brodę i wyciągnął ręce do nieba, jak na biblijnym obrazku i naraz chlupnęła mu z głowy krew i kawały mózgu... Potoczyły jakieś koszyki-kobiałki... wyrócił się w biegu jeden policjant... Tiuuuu! gwizdnęła kula... Tam leżało dlaczegoś kilku ludzi jeden na drugim... Cicho, w poprzek szyny leżał może dziewięcioletni chłopak i choć, gdyby krzyczał, nie dosłyszeć by jego głosu, to widać było, że nie żył już, bo nie drga. – Zakotłowało się pod kołami wagonów, bo tam większość szukała ratunku i tam ich najbardziej polewano z broni maszynowej, jak z sikawek, w ciemną masę złachmanionych postaci. – Oto zeskakuje ta młoda Żydówka, płowę jej włosy rozwiane, twarz wykrzywiona w nieludzkim strachu, z ucha, na kosmyku zwiesza się grzebyk, chwyta córeczkę... Nie mogę patrzeć. Powietrze rozdziera taki jazgot straszliwy mordowanych ludzi, a jednak rozróżnić w nim można głosy dzieci o kilka tonów wyższe, właśnie takie jak płacz-wycie kota w nocy. Nie powtórzy tego żadna litera wymyślona przez ludzi!” [...]. – cyt. za Józef Mackiewicz, *Fakty, przyroda i ludzie*, Londyn, Kontra, 1993].



## 10. Dlaczego nazistowskie Niemcy wybrały okupowane ziemie polskie jako miejsce zagłady europejskich Żydów?

[Stefan Korboński, *Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939–1945*, Bydgoszcz, wyd. Nasza Przyszłość, b.d.w – fragment rozdziału XVIII *Żydzi pod okupacją*]

Rzeczywistą przyczyną wyboru Polski był fakt, że ze wszystkich Żydów europejskich przeznaczonych na zagładę trzy i pół miliona zamieszkiwało w Polsce. Transport kolejowy niemiecki był na skutek wojny bardzo przeciążony. Toteż łatwiej było wybudować obozy zagłady w Polsce i dowozić do nich z niewielkiej odległości wspomniane trzy i pół miliona Żydów polskich niż je przewozić kolejami do Węgier czy do Francji. Największy z tych obozów Oświęcim [niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau] założono tuż przy granicy Rzeszy również z tego względu, by skrócić przewóz kilkuset tysięcy Żydów z Węgier, Francji i Włoch. Gdy po wybuchu wojny z Rosją przeciążenie kolei stało się jeszcze większe, wymordowano półtora miliona Żydów polskich i rosyjskich już nie w obozach zagłady, a wprost na miejscu, przed wykopanymi przed nimi z góry masowymi grobami i używając do tego specjalnych jednostek tzw. Einsatzgruppen.

Zresztą problem transportu grał nie tylko rolę przy zagładzie Żydów, ale także przy rozważaniach, jak ich ratować. Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Anthony Eden, pisał na ten temat w roku 1942 do prezydenta Roosevelta co następuje: „...Cały problem Żydów w Europie jest niezmiernie trudny i powinniśmy zachować wielką ostrożność, jeśli chodzi o propozycję zabrania wszystkich Żydów z takiego kraju jak Bułgaria. Gdybyśmy to zaoferowali, wówczas Żydzi z całego świata zażądają od nas, abyśmy złożyli podobne oferty odnośnie Polski i Niemiec. Hitler może się ucześcić takiej oferty, a po prostu na całym świecie nie ma tylu okrętów i środków transportu, które by to zadanie mogły wykonać”.

[Stefan Korboński (1901–1989) adwokat, polityk ruchu ludowego, w czasie okupacji niemieckiej szef Kierownictwa Walki Cywilnej, w czasie powstania warszawskiego dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu RP na Kraj, po aresztowaniu Jana S. Jankowskiego przez NKWD w marcu 1945 roku był p.o. delegatem rządu. Po ujawnieniu działał w Polskim Stronnictwie Ludowym, był posłem na Sejm Ustawodawczy. Zagrożony aresztowaniem, w 1947 roku zbiegł z Polski. Przebywał następnie na uchodźstwie w Stanach Zjednoczonych].

